Nasz Przyjaciel

Dodatek do „Głosu Wąbrzeskiego"

Nr. 1. | Wąbrzeźno, dnia 1 stycznia 1928 r. | Rok 5

Ewangelja

św. Łukasza rozdz. 2, wiersz 33—40.

Ojciec Jezusa i matka dziwowali się temu, co o Nim mówiono. I błogosławił im Symeon i rzekł do Maryi, Matki Jego: Oto ten położon jest na upadek i na powstanie wielu w Izraelu i na znak, któremu sprzeciwiać się będą. I duszę Twą przeniknie miecz, aby myśli z wiela serc były objawione. I była Anna prorokini, córka Fanuelowa, z pokolenia Aser: ta była bardzo podeszła w leciech, a siedm lat żyła z mężem swym od panieństwa swego, a ta wdową aż do lat ośmdziesiąt i czterech, która nie odchadzała z kościoła, postami i modlitwami służąc we dnie i w nocy. Ta też onej godziny nadszedłszy, wyznawała Panu i powiadała o nim wszystkim, którzy oczekiwali odkupienia Izraelskiego. A gdy wykonali wszystko według zakonu Pańskiego, wrócili do Galilei, do Nazaret, miasta swego. A Dziecię rosło i umacniało się pełne mądrości, a łaska Boża była w niem.

Nauka z ewangelji.

Czemu się dziwili Marya i Józef temu, co mówiono o Dziecięciu Jezus?

Radowali się, że Pan Bóg tak cudownym sposobem przez różnych świadków, aniołów, pastuszków wschodnich mędrców i sędziwego Symeona objawił tajemnicę, iż Dz cię Jezus jest oczekiwanym Zbawicelem świata.

Jak położon jest Chrystus wielom na upadek?

Stawszy się człowiekiem, jest Chrystus wszytkim tym na upadek, t. j. na wiekuiste potępienie, którzy usłyszeli Jego naukę, ale jej nie przyjęli i według niej nie żyją.

Którym będzie Chrystus Pan ku zmartwychwstaniu?

Tym, którzy uwierzyli Weń i w naukę Jego i według niej żyją. Jeśli w dobrem wytrwają, wtedy zmartwychwstaną i wnijdą do żywota wiecznego.

O ile jest Chrystus znakiem, któremu sprzeciwiać się będą?

O tyle, że Jego narodzenie z Dziewicy, życie, męki i śmierć, a mianowicie Jego niebiańskie nauki, całkiem przeciwne światu pochopnemu do żądz, będą dla żydów i pogan przedmiotem urągowiska i bluźnierstwa. I teraz jeszcze, jak mówi św. Bernard, jest Chrystus znakiem sprzeciwiania się wielu chrześcijan, którzy swą pychą sprzeciwiają się Jego pokorze, chciwością ubóstwa, niepowściągliwością postom, rozpustą czystości, lenistwem gorliwości, którzy Go wyznają ustami, a wypierają Go się w uczynkach i przez to dowodzą, że tylko są z imienia chrześcijanami. „Masz imię, że żyjesz; ale jesteś umarły." (Objaw. 3, 1).

Co znaczą słowa: „Duszę Twą przeniknie miecz?"

Znaczą: najsroższy smutek przebodzie Twą duszę jak miecz ostry. Było to podówczas, gdy Marya słuchać musiała obelg i urągowisk żydów miotanych na Swego Syna i gdy Go widziała konającego między dwoma łotrami. Rozważając to strapienie miłościwej Matki Bożej, zawołał św. Bonawentura: „Nigdy nie widział nikt większej boleści, gdyż nigdy nie miłowano tak gorąco dziecięcia!" (Uroczystość Matki Boskiej Bolesnej).

Powyższa niedziela jest zwykle ostatnią niedzielą roku cywilnego, stąd też nakazuje Kościół w dniu tym modlitwę dziękczynną za łaski w ciągu roku od Boga otrzymane.

Śmiertelne frendzle i szminki.

Tragiczna śmierć tancerki Izadory Duncan, którą udusił jej własny szal, nasuwa przypomnienie różnych niebezpiecznych mód kobiecych.

Tak bardzo modne ostatnio przy szalach i sukniach frendzle mogą się dla właścicielki stać często zgubnemi. Znamy cały szereg wypadków, że kobiety wchodząc na schody, zaplątywały się we frendzle sukni lub szala i padały mniej lub więcej szczęśliwie. Również wąskość modnych spudniczek utrudniajaca swobodę ruchów, nieraz wywoływała złe skutki, przy wsiadaniu szybkiem do tramwaju oraz jeszcze częściej przy zeskakiwaniu.

Niebezpiecznemi również mogą się okazać wysokie obcasy. Abstrahując już od tego, że niektóre choroby nóg i przepony brzusznej pochodzą z wysokich obcasów, ale nieraz zdarzało się, że wysoki obcas na schodach, albo szynach tramwajowych stawał się powodem nieszczęśliwego wypadku.

Krótkość współczesnych sukienek, powodująca wystawę nóg, skłoniła panie do wskrzeszenia mody okrągłych podwiązek. Podwiązki te wprawdzie przyczyniają się do należytego wyciągnięcia pończoszki, ale tamują normalną cyrkulację krwi i mogą wywołać szczególnie u starszych pań ciężkie zaburzenia w obiegu krwi. Czasem mogą nawet spowodować śmierć z powodu ataku sercowego.

W każdym razie przyznać nalczy, że moda współczesna nie przedstawia takiego niebezpieczeństwa, jak mody dawniejsze. Wszakże dawniej panie zamiatając ulice i schody ogonami sukien same połykały i innym kazały połykać obłoki kurzu. Sznurowanie ciała gorsetem bywało przyczyną ciężkich organicznych chorób. Używanie szpilek niejednokrotnie prowadziło do skaleczeń skóry, pociągających za sobą czasem zakażenie krwi.

Specjalnem źródłem niebezpieczeństw były olbrzymie, niby koła wozu, kapelusze. najniebezpieczniejszemi jednak dla oczu bliźnich były szpilki przy kapeluszach, które jednak przy krótkich włosach i naciśniętych głęboko na głowę kapeluszach, wyszły prawie zupełnie z użycia.

Również długie włosy kobiece mogły nieraz stać się niebezpiecznemi, bo ileż to razy zdarzało się, że włosy zbliżone nieostrożnie do ognia, zapalały się.

Zwrócić należy specjalną uwagę na niebezpieczeństwo używania złych szminek i kremów oraz karminów do warg, bo nieraz już zdarzały się wypadki zakażenia krwi. W Anglji przed kilku miesiącami nawet zaprojektowano wydanie zakazu używania karminów do warg, na podstawie całego szeregu zachorowań spowodowanych użyciem karminu w złym gatunku.



Nowy poseł niemiecki dla Ameryki.

Nowy poseł niemiecki w Waszyngtonie, Dr. von Prittwitz und Gaffron, wyjedzie na nowe stanowisko w tych dniach. Przed wojną był on już urzędnikiem poselstwa niemieckiego w Waszyngtonie.

Na obrazku naszym widzimy gmach poselstwa niemieckiego w Waszyngtonie.

Wigilja prof. Wileckiego.

2) (Przedruk zastrzeżony B. O. L.)

Wilecki żachnął się, wstał i podszedł do okna. Jakiś hałas wszczął się za domem, począł nadsłuchiwać. Po chwili ktoś uderzył mocno w drzwi od sionki.

— Profesorze, panie profesorze, stało się nieszczęście proszę nam otworzyć.

Wilecki pobiegł natychmiast i otworzył szeroko drzwi swego domu, przeczuwając, że ktoś z nieustraszonych śmiałków spadł z wysokiej a stromej i niebezpiecznej w tem miejscu góry.

Na dworze stała gromadka ludzi a na nartach leżała spowinięta w chusty i szale jakaś osoba, która widocznie uległa wypadkowi.

— Przepraszam profesora — rzekł jeden z młodych ludzi — ale ta pani jadąc saneczkami spadła ze stromej góry i z pewnością potrzebuje natychmiastowej pomocy, a ponieważ domek pański był najbliższy, więc pozwoliliśmy sobie tutaj przenieść ranną.

Profesor wprowadził przybyłych do gabinetu gdzie siedział przed chwilą i wskazał wygodną otomanę, na której złożono nieszczęśliwą.

— Co to za pani? — zapytał Wilecki.

— Nie wiemy — odpowiedziano — dopiero od dwuch dni bawi w Zakopanem i nie podała jeszcze swego adresu w hotelu.

Rozwinięto chusty, któremi spowinięta była ofiara wypadku i oto Wilecki ujrzał swoją własną żonę — Ilonę

Blady stanął u węzgłowia i załamał dłonie.

— Co panu jest, profesorze? — zapytano.

— To moja żona — odrzekł cicho Wilecki. Czy lekarz prędko przyjdzie?

— Musi nadejść za chwilę, już jest powiadomiony.

Obecni byli ogromnie wzruszeni dziwnem zrządzeniem losu. Historja profesora była ogólnie znana i oto teraz znaleźli się wobec niespodziewanego epilogu, który może się skończyć tragicznie.

Wszedł lekarz i pośpiesznie zaczął badać stan rannej. Po chwili odezwał się do Wileckiego.

— Natychmiastowa operacja jest konieczna, jeżeli pan nie pozwoli zrobić jej w swoim domu, to trzeba będzie nieść chorą do lecznicy, ale to może wywrzeć zły wpływ na nią i pociągnąć niepożądane skutki.

Wilecki otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju jadalnego, gdzie już na stole stała zastawa do wigilji. Stara Antoniowa ustawiała właśnie różne przysmaki dla swego panicza, które jak zwykle od lat kilku miał spożywać w samotności. Profesor kazał wszystko zdjąć ze stołu.

Położono na nim zupełnie nieprzytomną Ilonę. Wkrótce przybył drugi lekarz do pomocy i natychmiast przystąpiono do operacji, wyjmując pogruchotane kawałki kości ze złamanej nogi, i zakładając opatrunek.

Po operacji, gdy już Ilona leżała w łóżku rzekł lekarz do Wileckiego: — Wiem, że ta pani jest pańską żoną, zatem czuję się w obowiązku powiadomić profesora, iż chorej nie grozi wprawdzie niebezpieczeństwo śmierci, ale normalnej władzy w nodze już nie odzyska i chromać będzie przez całe życie.

Wreszcie rozeszli się wszyscy, a przy łożu chorej pozostał tylko Wilecki, który miał czuwać nad nią przez noc. Pod działaniem narkozy Ilona od kilku już godzin spała ciężkim głębokim snem. Profesor z uczuciem naprzemian to bólu to radości wpatrywał się w drogie, zmienione cierpieniem i trupią bladością rysy, a w sercu jego na nowo otworzyła się stara rana. Znowu czuł całą swoją głęboka i bezgraniczną miłość do tej kobiety, która tak lekkomyślnie go opuściła.

O życiu Ilony w czasie ostatnich lat nic nie wiedział, gdyż za wszelką cenę pragnął wykreślić ją ze swej pamięci, sądząc że tylko w ten sposób ukoi piekący ból serca na jej wspomnienie. I oto dzisiaj w sam dzień wigilijny kapryśny los znowu skrzyżował ich drogi.

— Co z tego wyniknie? — myślał z trwogą i bólem Wilecki. — Czy Ilona wyzdrowiawszy znowu wróci do swego kochanka?

Na tę myśl zerwał się gwałtownie z fotelu i schwycił w dłonie rozpaloną głowę. W skroniach waliły mu młoty, w czaszcę huczała krew uderzając do mózgu, a w piersi uczuł brak tchu.

— Nie! Przenigdy, tegobym już chyba nie przeżył po raz drugi — jęknął z cicha.

Z pobliskiego kościółka rozległy się w nocnej ciszy dźwięczne tony dzwonów zwołujących lud na pasterkę. Wilecki ukląkł u łoża chorej żony i choc jako profesor i przyrodnik nie był zbyt pobożnym i wierzącym, począł się modlić w bezwładnych urywanych ale gorących słowach błagając Boga o pomoc i pociechę w swem nieszczęściu.

W sąsiednim pokoju zegar wydzwonił godzinę. Chora drgnęła i otworzyła oczy. Spojrzała dookoła zdumionym, ale zupełnie przytomnym wzrokiem. Ujrzała klęczącego u jej łoża męża, a na twarzy jej odmalowało się nieopisane zdziwienie.

— Zdzisławie - szepnęła cichutko — gdzie ja jestem? Pogrążony w modlitewnej zadumie profesor drgnął.

— Jesteś w moim domu Ilono, spadłaś z góry i przyniesiono cię tutaj ranną i nieprzytomną. Leż spokojnie, bo masz nogę złamaną. Może c czego potrzeba? — spytał łagodnie, ujmując jej rękę, by ją ucałować.

Leczona szybko przycisnęła jego dłoń do swych ust, a z oczu jej trysnęły gorące łzy żalu i skruchy.

— Zdzisławie najdroższy, więc ty nie odtrąciłeś mnie od swego progu, pomimo tej krzywdy, jaką ci uczyniłam? Przebacz, ach przebacz mi, bo nie wiedziałam co czynię.

— Ilo, droga Ilo, uspokój się — błagał Zdzisław pochylony nad żoną — ja ci już dawno przebaczyłem - i łzy radości spłynęły z jego oczu na ciemną główke Ilony.

Od tego pamiętnego zdarzenia minął znowu rok. W małym domku profesora czyniono przygotowania do wigilji. Byli sproszeni liczni goście. W dużym fotelu, jaki zwykle używają chorzy. siedziała Ilona, już na zawsze przykuta do tego krzesła. Uśmiechała się smutnie i pouczała Antoniową, jak układać serwetki, na sposób jaki widziała w Paryżu. Wilecki przyjmował gości. Wesoła i wykwintna była w tym roku wigilja u profesora Wileckiego. Bawiono się ochoczo, w końcu służba zaniosła Ilonę do fortepianu, gdzie na prośbę wszystkich gości zaśpiewała swoim miłym głosem kolendy.

Gdy wszyscy goście odeszli zbliżył się Wilecki do żony.

— Jesteś zadowolona Ilo? Uczyniłem wszystko co mogłem, aby cię rozweselić.

— Mylisz się Zdzisławie — odparła Ilona — ja już nie pragnę zabaw, pomimo, iż Bóg tak mnie okropnie ukarał za moje grzechy, czuję się tylko szczęśliwą, gdy jesteśmy sami. Nie skarżę się nawet na swe kalectwoi ten nieszczęśliwy wypadek, który je spowodował, gdyż dzięki niemu odzyskałam na nowo tak lekkomyślnie utracone szczęście.

Zdzisław przytulił główkę żony i złożył na jej czole serdeczny pocałunek. I dla mnie droga Ilo wigilja ta będzie najmilszą ze wszystkich chwil mego życia.

W. N. Bolska.

Wesoły kącik.

Krótkowzroczność,

Pani Bzduralska nie jest wprawdzie piękn ale za to krótkowzroczna i bardzo bogata. Tem swojem bogactwem niepokoi wszystkie sklepy starożytności.

— Co pan tu ma za wstrętny portret kobiety — pyta raz właściciela sklepu.

— Pani ma na myśli ten, przed którym pani stoi? To przecież jest tylko lustro, proszę pani.

Jeden drugiemu równy.

— Cóż?.... Ty myślisz że jesteś coświęcej niż ja?

— Jesteś w błędzie... niczem nie różnimy się między sobą, ty ośle, bałwanie, idyoto,

Skarb Watażki.

5) POWIEŚĆ.

W Brodach oczekiwać miała armat komenda, aby je konwojować dalej na miejsce.

— Kto mnie zastąpi w służbie garnizonowej? — zapytał Fogelwander, odebrawszy ten rozkaz.

— Straż i nadzór nad hajdamakami — brzmiała odpowiedź — pozostawisz waćpan jednemu ze swych podoficerów; sam zaś jak najspieszniej marszem forsowym i pod ścisłem wykonaniem artykułów wojskowych powracać masz z oddziałem z Brodów.

Otrzymawszy polecenie i mając wyruszyć jeszcze w nocy, Fogelwander pospieszył do domu, aby się przygotować do marszu.

Przede drzwiami czekał już Szachin.

— Panie rotmistrzu — przywitał zaraz na wstępie Fogelwandra — mam pilne interesa, wyjeżdżam zaraz, kto wie kiedy już będę we Lwowie, chciałbym więc załatwić tę bagatelkę, o której mówiłem. . Chciałbym już teraz wziąść z sobą tego biednego człowieka.

— Żal mi, ale musisz się obyć bez towarzystwa. Jakże on się ma nazywać?

— Trokim mu na imię, nazwiska nie znam.

— Wiedzże o tem, panie Szachin, że ten twój Trokim, to największy zbrodniarz, to kampańczyk watażka!. . Mam rozkaz od komendanta, aby go strzedz surowo i na żadną reklamację nie wydać nikomu.

— To być nie może, aby on był kampańczyk — odparł Szachin, na którego twarzy przebijało się wielkie niezadowolenie — to być nie może, to pewnie pomyłka. Ja nie chcę fatygi pańskiej daremnie — dodał znacząco i sięgnął w zanadrze, wydobywając pełną kieskę złota.

Fogelwander groźnie spojrzał na Szachina i zawołał:

— Schowaj to i ruszaj, bo jakem żyw, aresztować cię każę.

Szachin cofnął się szybko i rzucił jadowite spojrzenie na oficera.

Tymczasem Fogelwander żałować począł, że się uniósł. Tajemniczy stosunek między watażką a Szachinem, przestrach z jakim pierwszy błagał o miłosierdzie, usilność, z jaką drugi nalegał na wydanie jakby upatrzonej ofiary — wszystko to naprowadziło Fogelwandra na domysł, że chodzi tu o zagadkę, której rozwiązanie może być zarówno ważne, jak ciekawe.

Nie chciał tedy od razu odstraszać Szachina i udaremnić może, tym sposobem wyjaśnienie tajemnicy...

— Panie Szachin — dodał łagodnym tonem — zniecierpliwiłeś mię do żywego i dla tego się uniosłem. Ja nie odmawiam ci tego opryszka, bo cóż mi na nim zależy?... ale poczekaj dni kilka... Dziś w nocy ruszam do Brodów, a skoro wrócę, załatwimy zaraz tę bagatelkę. Zaczekaj tedy dni kilka — i pożegnawszy żyda skinieniem głowy, pospieszył do pokoju.

Szachin rzucił za nim spojrzenie jadowite, rzec można skrytobójcze. Ścisnął dłoń gniewnie i mruknął do siebie:

— Poczekam, albo nie poczekam... zobaczymy... Być może, że bez ciebie powiedzie mi się gładko... Miałżeby on co miarkować?...

Potem zaśmiał się przez zaciśnięte usta i dodał:

— Jedź sobie mizerny panie grafie szczęśliwie do Brodów. Kto wie, gdy powrócisz, czy zastaniesz kupca... i towar...

III.

Wachmistrz Porwisz na pokuszeniu.

Fogelwander spiesznie przygotował się w drogę. Nie chciał wszakże wyruszyć ze Lwowa, nie zapewniwszy się co do osoby Trokima kampańczyka. Zanadto był roztropny, aby ufać miał Szachinowi. Obawiał się, aby Szachin nie wyzyskał jego nieobecności i za pomocą jakiegoś oficera garnizonu lwowskiego nie stał się właścicielem Trokima. Postanowił tedy upewnić się ile możności.

Między podoficerami jego chorągwi był najwierniejszym znany już czytelnikom naszym wachmistrz Porwisz. Fogelwander lubił go bardzo; właśnie chciał posłać po niego, gdy do pokoju wszedł wachmistrz. Miał on minę wielce niezadowoloną.

— Mości rotmistrzu — mruknął żołnierz z pokornym respektem — raportuję, że jako o św. Janie skończyły mi się werbownicze lata i przyszedłem prosić o abszyt.

Rotmistrz Fogelwander z zdziwieniem spojrzał na swego ulubieńca.

— A to co nowego, Porwisz? — zawołał — niedawno jeszcze mówiłeś, że już chcesz umierać w dragonji, a dzisiaj, prosisz o abszyt?

To prawda! mości rotmistrzu, żem rad był zostać, ale człowiek nie dla mizernej lafy służy, ale i dla honoru... Pod Jarosławiem w mojej wsi potrzebują organisty, pójdę na organistę...

Fogelwander zaśmiał się z całego gardła.

— Czyś ty oszalał Porwisz? mówisz o honorze, a któż cię obraził?

— Mości rotmistrzu, albo to nie despekt dla starego żołnierza, kiedy chorągiew rusza, a jego zostawiają w kuchni. Kiedy już taka hańba spadła na Porwisza, że go mości rotmistrzu nie chcą wziąć do Brodów, to stary Porwisz będzie organistą...

Fogelwander dopiero teraz zrozumiał, o co chodzi wachmistrzowi.

— Staryś a głupi, braciszku — zawołał ze śmiechem — toś ty się na mnie pogniewał, że na konwój do Brodów nie pojedziesz? A wiesz ty, czemu cię nie biorę? Oto dla tego mój bracie, że ci najbardziej ufam ze wszystkich i że się bez ciebie w pewnej bardzo ważnej sprawie obyć nie mogę.

I poklepał serdecznie wachmistrza po ramieniu. W oczach Porwisza rozjaśniło się nieco.

— Widzisz kochany stary — ciągnął Fogelwander — my obaj tak się dobrze znamy, że tylko ty mnie możesz zastąpić, a ja ciebie.

Na twarzy Porwisza zaświeciła jasna pogoda, a poczciwe oczy jego poczęły mrugać wesoło z pod brwi szpakowatych.

(Ciąg dalszy nastąpi).